



Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej
wydawany dzięki dotacji Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego Wrocławia

Rosnąca liczba wejść na ich strony dowodzi, że to one, a nie profesjonaliści, wyznaczają nowe trendy. W realu są licealistkami, w Internecie zajmują się prezentowaniem swoich kreacji. Dzięki temu mogą być, kim zapragną: Coco Chanel, hipiską czy mądrałińską w okularach-kujonkach. Przede wszystkim mają szansę tworzyć własne trendy, wrzucać pomysły na blogi i śledzić komentarze. Szafiarki Paulina i Karolina mają w tym wprawę.

Garderoba w domu

– Wbrew pozorom, nie mam dużo ubrań – stwierdza Paulina Zamojska. – Najwięcej miejsca zajmują u mnie buty i apaszki, które uwielbiam. Pierwsze układam parami na stojakach i w szafkach, drugie wieszam na specjalnych wieszakach.

Zabiegana Karolina Sochacka kupiła nową szafę kilka dni temu. – Dotychczas mój pokój w domu przypominał garderobę – uśmiecha się. – Ubrania wisiały na krzesłach, oparciach mebli czy na parapetach. Wiele z nich do dziś leży w kartonach. Nie mam czasu ich wypakować.

Paulina wpadła w wirtualne szafiarnictwo w klasie gimnazjalnej. Od tamtej pory zmieniła nie tylko styl i fryzurę, ale też szkołę. Przez moment uczyła się w Niemczech, od dwóch lat kształciła się w Jeleniej Górze. Jedno się nie zmieniło: jej fascynacja modą. – Zawsze śledziłam pokazy światowych kreatorów mody, nowe kolekcje... Prada, Miu Miu, Dior. Nie stać mnie było na markowe ciuchy, więc zaczęłam zestawiać te wyszperane w second-handach – uśmiecha się. – Koleżankom spodobał się mój styl. Postanowiłam podzielić się nim z innymi

Szafiarki

Nie lubią tłoku na wyprzedazach czy wyrywania sobie ubrań w sieciówkach. Za grosze komponują stroje godne światowych projektantów, bo wiedzą, że kreowanie ich wymaga nie pieniędzy, ale pomysłu. Zdjęcia swoich stylizacji wrzucają na bloga.



Fot. Magda Pacek

i zasięgnąć opinii internautów. Stąd pomysł na bloga.

Karolina nie czuje się ofiarą mody. W ogóle nie wie, czy jej hipisowski styl można określić na czasie. Jak ognia unika kupowa-

nia ciuchów w sieciówkach, uważając, że są mdłe i nijakie. Swoją blog nazywa wirtualną skrzynią z zestawami ubrań, muzyką, której słucha i wierszami, które pisze. Do zdjęć często pozuje

ze swoim ukochanym psem Alikiem. Psy są jej kolejną fascynacją. Szafiarnictwo nazywa ucieczką od codzienności i sprawdzonym sposobem na kompleksy.

Sesja na śmietniku

Przepis na sesję szafiarską jest dość prosty: włoż interesujący cię zestaw ubrań, zrób sobie fotkę i wrzuć ją na blog. Niby łatwe, ale z wykonaniem fotografii różnie bywa.

Paulina sama robi sobie zdjęcia. Starą cyfrowką ustawia na statywie, pozuje na białej skórzanym kanapie. Do niedawna tłem dla zdjęć była pomalowana przez nią stara dębowa szafa po babci. Zrezygnowała, bo w świetle pokoju wyglądała ona bardzo blado, a stroje traciły swoją naturalną barwę.

Karolina ma wielu fotografów. Są nimi najczęściej koleżanki z osiedla. Podczas sesji pilnuje, by strój komponował się z otoczeniem. Pozowała już przy fotelu wyrzuconym na śmietnik, nieczynnym hotelu, na tle ulicznego graffiti. – Sesja to wisienka na torcie – śmieje się Karolina. – Przechodnie? Reagują sympatycznym zdziwieniem.

Ubraniowy recykling

Łatwo sprawdzić, gdzie szafiarki szukają okazji. Pod każdą sesją widnieją nazwy sklepów i ich ceny, które często nie prze-

kraczą kilkadziesiąt złotych. Dla śledzących blogi to coś w rodzaju nawigacji – można ruszyć ich szlakiem i wyglądać tak, jak one. Nie zawsze ta trasa wiedzie przez ciuchlandy. – Przyznaję, że ubrań szukam nie tylko w second-handach, ale czatuję też na Allegro czy wypatruję okazji na wyprzedazach – mówi Paulina. – Bywa, że ubrania czasem bywają za duże, jednak to żaden problem. Wystarczy agrafka, by zamienić obszerną bluzkę w udrapowane cudo – dodaje. Karolina nie ukrywa, że zdarza jej się zaopatrywać w lumpeksach. – Im mniejsza miejscowość, tym większy wybór. Jednak prawdziwe skarby odnajduję na strychu u mojej babci. Ostatnio znalazłam tam sukienkę z pozszywanych ze sobą kawałków materiałów, które dzia- dek kupił do czyszczenia auta, a babcia wykorzystała na uszycie kreacji. Po recyklingu nadaje się na najróżniejsze wyjścia – mówi Karolina. Koszt sukienki? Zero złotych. I o to chodzi!

Blog i co dalej?

Paulina przyznaje, że szafiarnictwo jest dla niej czymś więcej niż pasją, staje się początkiem przygody z profesjonalną modą. – Zaczęłam odkładać pieniądze na zakupy w Londynie. Najpierw upoluję tani bilet lotniczy, a już na miejscu rozejrzę się po ulubionych sklepach. Kto wie, może kiedyś napiszę poradnik zakupowy, gdzie i co można tanio kupić – śmieje się.

Karolina zastanawia się nad szkołą wizażu i kreowania wizerunku. Na razie ma inne rzeczy na głowie. Szykuje się do ślubu swojej siostry. Jej sukienka będzie oczywiście godna szafiarki!

ALICJA PIELICHOWSKA

Urojenia miasta

Nie oceniaj książki po okładce – przysłowie powszechnie nam znane, często powtarzane przez naszych rodziców lub dziadków. Czy postępujemy według owego porzekadła? Zdarza się, że na ulicach widzimy ludzi wyróżniających się spośród tłumu (szczególnie w dużych miastach). Jak wtedy reagujemy?



Fot. Michał Socha

– Kiedy widzę fajnego koleś w dreadach i najlepiej z zarostem, od razu śledzę go wzrokiem. Bardziej rzuca się w oczy niż zwykły chłopak w krótkich włosach. Na przeciętnego faceta nie zwróciłabym uwagi tak jak na przystojnego rastamana – tłumaczy Aleksandra Domińska, uczennica LO nr IX we Wrocławiu.

My się go boimy, na palcach chodzimy

Niestety, nie wszyscy podchodzą entuzjastycznie do ludzi posiadających swój własny styl. Marta Wrzesień, studentka Uniwersytetu Wrocławskiego, spotkała się z brakiem akceptacji z powodu jej włosów.

– Jechałam do klubu, który znajdował się na drugim końcu Wrocławia. Nie miałam pojęcia, jak trafić na miejsce. Miałam siedemnaście lat i czułam się zagubiona w tak dużym mieście, tym bardziej że nie jestem stąd. Starłam się uzyskać pomoc u ludzi. Większość po prostu mnie ig-

norowała, inni wruszali ramionami, dając znać, że nie wiedzą, jak tam dojechać. To wszystko z powodu tego i tego – wskazuje palcem na swojego zielonego irokeza i kolczyk w nosie. – Pomimo mojego ciepłego tonu głosu i uprzejmości, nikt nie wskazał mi drogi.

Ludzie zbyt pochopnie wyciągają wnioski na temat innych, opierając się jedynie na wyglądzie. Łysa głowa i glany – bandyta, czarna bluza, kaptur na głowie – złodziej, całe ciało pokryte tatuażami – pewnie wczoraj wyszedł z więzienia. Aż strach na takich spojrzeć, a nie daj Bóg odezwać się do nich. Ciężko dociera do niektórych, że stylizacja nie zawsze oznacza to, kim jesteśmy naprawdę!

Conclave

– Gdyby moje dziecko zaczęło malować i ubierać się, jak ci wszyscy gothci, to nie wypuściłabym go z domu. A przynajmniej nie mogłabym się z nim pokazać na ulicy – mówi Anna Struś, trzy-

dziestosiedmioletnia mieszkanka Wrocławia.

Jak widać, nawet najbliższa rodzina nie byłaby w stanie zaakceptować indywidualizmu swojego własnego dziecka. Apeluję do wszystkich rodziców: jeżeli macie w domu takie „dziwactwa”, najlepszym sposobem jest trzymanie ich pod kluczem. Efekt? Brak obawy przed tym, że nie będziecie pośmiewiskiem sąsiadów, a wręcz przeciwnie, posłużycie za wzór dla innych dorosłych dbających o swoje pociechy.

Nie taki diabeł straszny...

Nie bacząc na kontrowersyjne stroje, piercing, tatuaże czy oryginalne fryzury, trzeba przełamać lody i poznać charakter danej osoby, żeby móc się wypowiedzieć na jej temat. De facto człowiek o twarzy przestępcy w rzeczywistości może być łagodny jak baranek, a za anielską maską może ukrywać się prawdziwy Lucyfer.

MAGDA PACEK

Okiem Recenzenta

Łaskawym okiem

Jeden z głośniejszych tytułów ostatnich lat, budzący skrajne emocje – zarówno krytyki, jak i czytelników. Książka niezwykle długa, niełatwa w odbiorze, a momentami wręcz chora i odrzucająca – jednak jest w niej coś, co sprawia, że każda kolejna strona coraz mocniej odrywa nas od realnego świata na rzecz tej powieści.

LASKAWE to fikcyjne wspomnienia młodego oficera SS Maximiliana Aue – zarazem erudyty, miłośnika literatury antycznej i doktora prawa, a z drugiej strony homoseksualisty, kazirodca, mordercy czy wreszcie hitlerowskiego zbrodniarza, który uniknął kary dzięki ucieczce za granicę. Autorem jest Jonathan Littell, amerykański pisarz urodzony już po wojnie, tworzący po francusku.

Historia spisana została po latach, kiedy podstarzały już Aue piastuje stanowisko dyrektora we francuskiej fabryce koronek, jako swego rodzaju rozliczenie z przeszłością. Co ciekawe jednak, nie jest to jedna z wielu opowieści skruszonych nazistów – wręcz przeciwnie, nie zdaje się on żałować swojej przeszłości, tylko z pragmatycznego punktu widzenia przekonuje czytelnika do swoich racji. W powieści poznajemy jego dzieje od wstąpienia do Sicherheitsdienst, poprzez udział w eksterminacji Żydów i walkę na froncie wschodnim, inspekcje w Auschwitzu aż po ostatnie godziny Rzeszy na ulicach Berlina. Postać Aue jest postacią wymykającą się schematom. Wykształcony humanista, a zarazem człowiek do bólu oportunistyczny, oddany narodowy socjalista i wyuzdany hedonista, na dodatek tracący momentami kontakt z rzeczywistością.

Osią jego charakteru jest dziecięcy kazirodczy związek z siostrą, który przerwany został wysłaniem rodzeństwa do osobnych szkół. Nie może zaakceptować rzeczywistości – siostra związała się z innym mężczyzną i odcina się od przeszłości, przez co Aue rzuca się w wir przygodnych homoseksualnych partnerów, niezdolny do utworzenia związku z kobietą.

Częścią powieści, która zdobyła największy rozgłos, są niezwykle drastyczne opisy technicznej strony Holocaustu i równie szczegółowe fantazje i podboje erotyczne bohatera – często budzące większy niesmak niż egzekucje (wystarczy przytoczyć moment, w którym bohater wybiega nago do lasu, by zaspokoić się na wystającym z drzewa konarze). Są one jednak niezbędnym elementem narracji, wahającej się od realizmu aż po głębokie opary absurdu i ciężki do opisanego stan otumanienia, związanego z marzeniami czy wizjami bohatera. Na szczególną uwagę zasługuje strona techniczna – powieść wręcz perfekcyjnie naśladuje pamiętnik, zasypując czytelnika faktami, które znamy z lekcji historii – jednak widzianych oczami ich twórców.

Jeśli szukasz więc lektury na długie jesienne wieczory oraz masz dość mocne nerwy – nie wypada chyba nie spróbować przeczytać tej książki.

**BARTŁOMIEJ
KOPCIUCH**



Dziewczynka w zielonym sweterku

Wspomnienia dziecka zawsze mają niepowtarzalną moc. Ich siły przekazu nie można porównywać z wykwintnymi reportażami mistrzów gatunku. Są bardzo emocjonalne, przyziemne i przede wszystkim – szczerze. Nawet spisane po kilkudziesięciu latach, nie odbierają dokumentowi autentyczności.

Krystyna Chiger, ponadsiemdziesięcioletnia Żydówka polskiego pochodzenia, mieszkająca dziś w USA, postanowiła podzielić się swoją historią. Pokazała czternaście miesięcy z życia ośmioletniego dziecka. Życia, które mało kto potrafi sobie wyobrazić, a co dopiero zrozumieć.

Jest rok 1941. Lwów. Po dwóch latach sowieckiej okupacji, do miasta wkraczają oddziały Wehrmachtu. Gdy zaczynają się pogromy Żydów, Ignacy Chiger, zamożny właściciel sklepu i ojciec małej Krysi, postanawia zostawić dom i schronić siebie i rodzinę w bezpiecznym miejscu. Spakowali najważniejsze rzeczy do wózka najmłodszego syna i zamieszkali przy Zamarstynowskiej, gdzie chwilę później było już getto.

Krysia zabrała jedynie zielony sweter, wydziergany przez ukochaną babcię. Jedyna pamiątka dzieciństwa, które jednego dnia skończyło się na zawsze. Nie zdęymowała go prawie w ogóle przez kolejne czternaście miesięcy.

Nadszedł w końcu dzień, kiedy Chigerowie zmuszeni byli uciekać przed likwidacją getta. Schronienie znaleźli we lwowskich kanałach, podobnie jak setki innych Żydów. Traumatyczne piętno w pamięci dziecka odcisnął sam moment zejścia pod ziemię. Gdy ludzie tłoczyli się pod powierzchnią, Niemcy ustawiali



Rys. Ania Rzętała

nad włączami czujki i wrzucali do kanałów granaty, gdy ktoś się na dole poruszył. Mała Krysia po raz pierwszy widziała śmierć i była o krok od niej.

Bulgocząca rzeka ścieków płynąca kanałem, nieznośny smród, szczury i echo, odzywające się przy najmniejszym szepcie, stały się codziennością rodziny Chigerów. Nie było miejsca na płacz, historię. Czternastce Żydów ukrywających się w kanale pomagał

Leopold Socha, ich anioł stróż, jak mówiła Krysia, i jego dwóch kompanów. Przez czternaście miesięcy przeciskał się wąskimi, wilgotnymi i ciemnymi kanałami, aby przynieść im czarny chleb, margarynę, czasem prasę.

„Dziewczynka w zielonym sweterku” to autobiografia Krystyny Chiger. Napisana prostym językiem, bez kolorowania, owijania w bawełnę. Jeśli śmierzdziało, to czytelnik to czuje. Gdy

poziom wody w kanale podnosił się podczas ulewy, czytelnik ma wrażenie przyciskania głowy do półokrągłego sufitu. Pamięć ośmioletniego dziecka szokuje ze względu na liczbę zapamiętanych faktów. Jednak nie sposób poddać w wątpliwość prawdziwości dokumentu. Choćby ze względu na szacunek.

Przez książkę przewija się także druga historia. Młodego, żonatego Polaka, z zawodu kanalarza. To Poldek Socha, błyskotliwy i inteligentny, czasem przebiegły mężczyzna, który postanowił pomóc kilkunastu osobom przetrwać ponad rok w nieludzkich warunkach. Wykorzystywał układy z okupantami, narażał własne życie, aby pomagać obcym sobie ludziom, którzy wkrótce stali się jego przyjaciółmi. Autorka jest mu wdzięczna, bo dzięki niemu żyje. Socha wraz z drugim kolegą, Stefanem Wróblewskim, mają swoje drzewka w Yad Vashem.

Tej książki nie można przeczytać w dzień, dwa czy trzy. Nie sposób jednym ciągiem sprostać tylu okropnościom, przedstawionym jednak w sposób, który nie atakuje czytelnika. Jeśli matka udusiła noworodka, aby nie ściągnął płaczem uwagi Niemców, to autorka nie zatrzymuje się nad tym, nie rozwodzi. Pokazuje, że trzeba żyć dalej. Trzeba przeżyć. Za wszelką cenę.

Zielony sweter można dziś oglądać na wystawie w Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie.

TOMASZ KRAJCARSKI

Zmora cywilizacji?

– Większość młodzieży nie wie, jak to jest żyć bez telefonu komórkowego. Pamiętam, że kiedyś ludzie byli bardziej słowni i punktualni, bo nie mogli zadzwonić, aby przełożyć spotkanie. Jeżeli mieliśmy jakąś sprawę do znajomego, to musieliśmy pójść do niego osobiście. Teraz dzwoni się nawet do brata, który jest w pokoju obok – mówi Jarosław Pilch, student Politechniki Wrocławskiej.

Niektórzy nie wyobrażają sobie życia bez komórki. Stanowi dla nich budzik, odtwarzacz muzyki czy przenośny kalendarz. Historia jej powstania wiąże się z odkryciem systemu scalonego. Pierwszy prototyp tego urządzenia ważył czterdzieści kilogramów, a kształtem przypominał walizkę. Został wyprodukowany przez firmę Ericsson w 1956 roku i kosztował tyle, co samochód. Współcześnie telefony komórkowe posiada praktycznie każdy. Ich rozwój odbywał się w niebotycznym tempie, choć jeszcze kilka lat temu były one dostępne wyłącznie dla ludzi zamożnych.

Serce w kopercie

– Gdy zobaczyłem Elem, od razu wiedziałem, że nie jest przeciętna. Zdołałem jej numer telefonu i zadzwoniłem, a ona zaproponowała mi pisanie listów. Zgodziłem się. Po pewnym czasie bar-

dzo mi się to spodobało. Mogłem w ten sposób wyrazić siebie, na co nie pozwala zwykły SMS. Z niecierpliwością czekałem na następną wiadomość od niej, aby odkryć kolejną część jej duszy. Dzisiaj jestem szczęśliwy, bo zostaliśmy parą – opowiada Dawid Kustroń, uczeń technikum. Niestety, nie każdy jest w stanie się tak poświęcić. Ludzie są zabiegani i nie mają

czasu pisać, a tym bardziej długo oczekiwać na odpowiedź. Dlatego najłatwiej wybierać szybkie środki komunikacji. Są one dostępne dla wszystkich, więc ostatnio sięgają po nie nawet starsze osoby. Pani Marianna Szurlej (75 lat) posługuje się telefonem komórkowym od niedawna

– Nie jest to dla mnie proste. Klawisze są niewielkie, a żeby odczytać literki na ekranie, muszę zakładać okulary. Zazdroszczę młodzieży, która bez problemów sobie z tym radzi. Gdy w ich wieku wyjeżdżałam z domu, to pisałam wiele listów do mamy. Niestety, ona nie zawsze miała czas, aby odpisać. Obecnie porozumiewanie się jest o wiele łatwiejsze, gdyż w każdej chwili można zadzwonić. Komórki to na pewno jedno z lepszych, ale i bardziej szkodliwych osiągnięć – mówi.



Rys. Ania Rzętała

Krwawa śmierć a komunikacja

Godziny policyjne, łapanki, bombardowanie... Coraz mniej osób wie, co to znaczy. Przerazający widok ukochanego, zniszczonego doszczętnie miasta i ta świadomość, że gdy ktoś wyjdzie z domu, może już do niego nie wrócić. Szara rzeczywistość stanu wojennego. Jak wtedy radzono sobie bez telefonów komórkowych? Jak informowano o zagrożeniu czy ważnych wydarzeniach? Często po prostu człowiek pozostawał w nieświadomości.

– Urodziłam się pod koniec czterdziestego pierwszego roku, więc czasy wojny pamiętam jedynie z opowieści. Komunikacja była wtedy dyskretna. Pisano do siebie listy, ale przekazywano je bezpośrednio lub przez tak zwanego dziedzica, który przewoził paczki i żywność. Gazety konspiracyjne produkowano jedynie w miastach. Z małych miejscowości wywożono Polaków do Rzeszy na przymusową pracę. Na ich miejscach osiedlali się Niemcy, których nazywano Besarabami. Moi dziadkowie raczej nie słyszeli o środkach przekazu. O możliwości komunikacji dowiedzieli się dopiero pod koniec wojny – mówi Erika (Irena) Wojniak z Klubu Ludzi ze znakiem „P”. Nasuwa się pytanie, czy bez telefonów komórkowych rzeczywiście nie można żyć? Są one pewnym ułatwieniem, ale na pewno nie zastąpią prawdziwej rozmowy.

MAGDALENA CIUPA

Pierwotne zagrożenia

– Gdy dba się tylko o ciało, dusza jest wrakiem, a człowiek przypomina „groby pobielane, które z zewnątrz wyglądają pięknie, lecz wewnątrz pełne są kości trupich i wszelkiego plugastwa”
– stwierdza ALEKSANDRA BIEROŃSKA, uczennica LO nr VII we Wrocławiu.

Każdy nastolatek wielokrotnie sływał od swojej babci, że za jej czasów było o wiele lepiej. Młodość szanowała starszych, miała jakiś cel w życiu i chodziła do kościoła. Jednakże czy w dzisiejszym świecie nie można spotkać religijnych młodych ludzi?

Egocentryczna, lubiąca się afirmować

Z natury jest cicha, ale jak się rozkręci w towarzystwie znajomych, to potrafi zachowywać się głośno. Czuje się luzakiem żyjącym we własnym świecie, niedbającym o przyszłość. Trochę jak hipis. Mimo że jest nieśmiała, nie lubi się zamykać w sobie. Samotność ją męczy. Nawet, gdy nie konkretnego nie robi, to rozmawia z Bogiem.

– Nasze dusze są jak przetrwalniki, które uaktywniają się w odpowiednim dla siebie środowisku, czyli nieskończonej miłości naszego dobrego Boga. Tylko od nas zależy, czy ją do siebie dopuścimy. Jezus wyciąga nas z najgłębszego bagna. Z Nim mogę wszystko, a bez Niego nic – dodaje Ola.

Wielu odbiera ją jako dziwaka i fanatyka religijnego, bo dużo

mówi o swojej wierze oraz zachęca wszystkich do czytania Pisma Świętego. Ma jednak wielu znajomych, z którymi dobrze się dogaduje, bo wcale nie urwała się z choinki, tylko po prostu jest wierzącą nastolatką. Przeżywa podobne problemy emocjonalne i wątpliwości jak większość młodzieży. Miewa kryzysy, chwile słabości i huśtawki nastrojów. Ma identyczne problemy, co jej rówieśnicy – w szkole, z rodzicami oraz sercowe.

– W chrześcijaństwie widzę jakiś sens, dlatego staram się rozwijać swoją wiarę. Ugruntowała się ona na moich wewnętrznych doświadczeniach i głębszych przemyśleniach oraz poszukiwaniach, które nadal trwają. Mój pogląd na świat wciąż się wykształca. Jednak nie zamykam się tylko w kręgu swojego Kościoła. Dużo czytam i rozpatruję sprawy z różnych stron – wyjaśnia dziewczyna.



Fot. Magda Patek

Potrzebna spadająca gwiazda

Wyróżnia się w kwestii wiary, ale nie oznacza to, że wszystkie jej marzenia mają charakter religijny. Do największych pragnień dziewczyny należą podróże rodem z książek Cejrowskiego. Woli spontanicznie poznawać świat na własną rękę niż z biurem podróży.

– Nie chcę jechać w jakieś miejsce tylko po to, by zrobić tam zdjęcie i się nim potem chwalić. Marzę o takiej wycieczce, na któ-

rej bym się przejmowała, czy coś zjem, gdzie się wyśpię, czy mnie okradną lub porwą. Chciałabym poczuć na swojej skórze pierwotne zagrożenia – wyznaje dziewczyna. Dla podobnej adrenaliny ćwiczy sztukę walki aikido. Najbardziej ciągnie ją do Ameryki Środkowej, do Kotliny Konga i do Amazonii. Ola marzy także o narysowaniu kilku własnych mang oraz o założeniu zespołu rockowego.

Dziewczyna ma dużo planów na przyszłość, ale ufnie wierzy w ich spełnienie. Nie kryje jednak, że przydałaby się jej jakaś spadająca gwiazda, która pomogłaby w realizacji marzeń.

„Mówiłam językiem aniołów,

trzymałam rękę diabła. Wspinając się po najwyższych górach i czułam się”. Tak po przetłumaczeniu brzmi kilka wersów piosenki zespołu U2 pod tytułem „Still haven't found”. – Myślę, że ona najtrafniej oddaje moje odczucia. Nie odnalazłam jeszcze swojego miejsca w życiu, ale wiem, że jego sensem jest Jezus Chrystus – uśmiecha się Ola. Poszukuje ogólnej harmonii z przyrodą, której chce być częścią. Dziewczyna głęboko wierzy w miłosiernego i dobrego Boga Ojca. Ponadto ściśle pró-

buje kierować się przykazaniem miłości.

– Jednakże to nie jest tak, że nie liczę się ze zdaniem innych odnośnie spraw egzystencjalnych i metafizycznych. Wierzę na przykład w teorię ewolucji. Ponadto czerpię także z różnych nurtów filozoficznych – dodaje.

Egzorcysta potrzebny od zaraz!

Według ludzi starszych, młodzież tylko spotyka się ze znajomymi na piwie, baluje do białego rana i nie przywiązuje wagi do swoich obowiązków.

Aleksandra woli jednak spędzać swój wolny czas troszeczkę inaczej. Chodzi na spotkania wspólnoty modlitewno-ewangelizacyjnej Ichtis, rozwija swoje umiejętności wokalne, dużo czyta. Często bierze udział także w różnych imprezach religijnych.

Wielu dorosłych uważa nastolatków za zdemoralizowanych, którym przydałby się co najmniej egzorcysta. To uogólnienie krzywdzi takie osoby jak Ola, dla której wiara jest ważna. Dziewczyna nie należy jednak do wyjątków. To zaledwie wierzchołek góry lodowej, o której po prostu się nie mówi. Dużo łatwiej jest narzekać na dzisiejszą młodzież, zamiast zauważyć, że nie można wszystkich traktować stereotypowo.

KAMILA ZIELIŃSKA

* Cytat z Ewangelii według świętego Mateusza

Matka Teresa

Z MAGDALENĄ SZYMANEK, uczennicą VII LO we Wrocławiu oraz wolontariuszką, rozmawia Patrycja Stroka

► Balowanie do białego rana w klubach, spotkanie się z przyjaciółmi, chodzenie na zakupy lub do kina po szkole – nie kręci Cię to? Nie sądzisz, że tracisz swój czas na pomaganie innym, zamiast bawić się jak Twoi rówieśnicy?

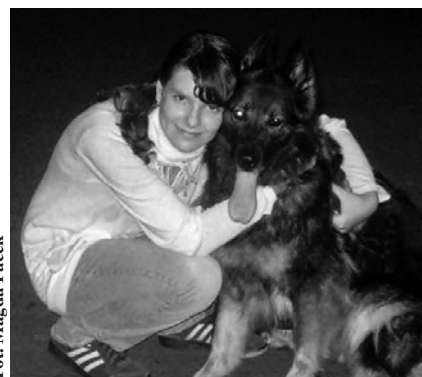
– Wiem, że każdy kolejny dzień jest darem. Pragnę zarażać ludzi swoim pozytywnym myśleniem i chęcią do życia. Chcę wspierać ich, ponieważ uważam, że ma to ogromny sens. Wierzę, że uda mi się zaszczepić w nich coś dobrego. Dla bliskich koleżanek, kolegów i rodziny zawsze znajdę chwilę.

► Co zapoczątkowało Twoją misję jako Matki Teresy XXI wieku?

– W piątej klasie szkoły podstawowej zorganizowałam akcję zbierania żywności, koców i ręczników potrzebnych Schronisku dla Bezdomnych Zwierząt we Wrocławiu. Dzięki temu, że naprawdę wiele osób się w to zaangażowało, odnieśliśmy sukces. Dostaliśmy podziękowania i pamiątkowe kartki z wizerunkami najoryginalniejszych podopiecznych. Mimo że byłam dumą, wiedziałam, że nie mogę spocząć na laurach. Zajął się szukaniem zwierzętom domu.

► Nie poprzestałaś jednak na kilku akcjach charytatywnych.

– W Gimnazjum Gminnym w Sobótce byłam korepetytorką przez dwa lata. Moim podopiecznym największe trudności sprawiały języki obce i przedmioty ściśle. Każda ich pozytywna ocena dawała mi wiele satysfakcji. Nie żałuję, że poświęcałam im swój wolny czas. Poznałam kilka



Fot. Magda Patek

niezwykłych osób, między innymi Olę Trojan, którą uczyłam matematyki. Zapamiętałam ją jako miłą, ciepłą i przede wszystkim sumienną dziewczynę. Dzięki niej nauczyłam się odpowiedzialności. Dojrzałam.

► Jesteś także przybraną ciotką dla czwórki dzieci.

– Nas, gimnazjalnych wolontariuszy, zawsze wspierała pani pedagog, Dominika Bigosińska. Później zaoferowała mi pracę niani. Wiązało się to z wieloma wakacyjnymi wyrzeczeniami, ale maluchy, którymi nadal się opiekuję, są cudowne – świetnie wychowane, kulturalne, troskliwe oraz odpowiedzialne za młodsze rodzeństwo. Ogromnie mi tym imponują. Gdy któreś z nich przewróci się na spacerze, podbiegają od razu i podnoszą je ziemi. Mimo że często nie potrafią wytrzymać minuty w jednym miejscu, nie jestem na nie zła. To naturalne w ich wieku, że są ciekawe świata. Najmłodsze skrabki, którymi się zajmuję, to dwie piętnastomiesięczne bliźniaczki – Weronika i Faustyna. Mają starsze rodzeństwo – sześciolatniego Piotra i siedmioletnią Marysię –

które jest dla nich wzorem. Mimo różnicy wieku, bez problemu się dogadujemy. Od ich mamy uczę się, jak z nimi postępować. Niemal jej zazdroszczę cierpliwości oraz łagodności.

► Dla wielu licealistów liczy się tylko matura i skupiają się na nauce. Jak jest z Tobą?

– Pozostało mi dużo czasu do egzaminów, więc nie myślę jeszcze o nich. Na początku roku szkolnego szukałam organizacji pozarządowych we Wrocławiu. Znalazłam kilka, lecz większość z nich nie odpowiedziała na moje e-maile lub nie odbierała telefonów. Zupełnie przypadkiem natrafiłam w Internecie na fundację „Kairos”. Zadzwoiłam i umówiłam się na spotkanie. Powiedziałam, co tak naprawdę chcę robić i do czego mam predyspozycje. Aby zostać wolontariuszem, nie potrzeba doświadczenia. Wystarczy dobre serce. Choć bardzo żałuję, musiałam zrezygnować z pomagania tej instytucji z powodów osobistych.

► Chcesz otworzyć własną organizację charytatywną lub schronisko dla zwierząt? Nie marzysz o wyjeździe na misję do Afryki?

– Z chęcią odwiedziłabym Czarny Łąd, ale na razie planuję adopcję sierotki, myślałam nawet o kilku z krajów pochłoniętych przez żywioł czy ogarniętych wojną. Nie wyobrażam sobie też życia bez współpracy z fundacjami. Chcę pokazać ludziom chorym na raka, że życie toczy się dalej i że są w stanie się nim cieszyć oraz spełniać swoje marzenia. Schroniska dla zwierząt raczej nie założę, bo to za duża odpowiedzialność. Mam nadzieję, że jako weterynarz będę im pomagać.

► Dziękuję za rozmowę.

KRÓTKO, A TREŚCIWIE

Chłopiec idealny

– Najtrudniej jest z włosami. Trzeba je odpowiednio dostosować do rysów twarzy. Nieraz muszę wykonywać jakieś 2–3 peruki na próbę, tak aby moje kobiece atrybuty przerobić na chłopięcy wdzięk. Nigdy nie przesadam. Zero kiczu. Wychodzę z założenia, że każdy ma w sobie naturalny pierwiastek płci przeciwnej, tylko należy go umiejętnie odkryć.

Ola Ślubowska to z pozoru zwyczajna licealistka. Zbiera dobre stopnie, chce studiować filologię angielską, w każdą sobotę chodzi do kina. Tylko nieliczni znajomi wiedzą o jej hobby, jakim jest crossdressing, czyli „ubieranie krzyżowe”, co można także przełożyć na zamianę płci. Jednak tylko zewnętrznie i na chwilę. Ola po raz pierwszy stała się Alexem na szkolnej dyskotekce. Jak sama wspomina, efekt przerósł jej oczekiwania.

– Często mieliśmy organizowane imprezy tematyczne, haloweenowe straszdyła czy tego typu rzeczy. Postanowiłam zrobić coś oryginalnego, czego nikt się nie spodziewał. Pokazać siebie jako chłopca. Chciałam być perfekcyjnie dopieszczona. Nie wystarczyło założenie dresowej bluzy czy związanie kucyka pod czapkę. Męczyłam się nad tym dwa dni. Absolutnie nikt mnie nie poznał. Pamiętam nawet, że dostałam buziaka po tańcu z inną dziewczyną. Pewnie do dziś nie podejrzewa, że całowała koleżankę z tej samej szkoły – śmieje się.

Ze swoich niecodziennych umiejętności Ola korzysta niezwykle rzadko. Ma poczucie, że w każdej chwili potrafi stać się

kimś zupełnie innym. Nie utożsamia się jednak z wykreowaną przez siebie postacią. Wygląda to inaczej niż w przypadku transwestytów. Oni potrzebują pokazać swoje drugie „ja”, ubiór oraz zachowanie stanowią dla nich fetysz. Crossdressing za granicą traktowany jest jako forma zabawy. To coś w miarę normalnego, chociaż spotyka się również głosy przeciwko temu zjawisku. W Polsce mało kto o tym słyszał. Ci, którym chociaż raz przez głowę przemknęła myśl, aby na jeden dzień stać się chłopcem/dziewczyną, od razu uważają, że to coś niemoralnego.

Z „usług” Oli co jakiś czas po sąsiedzku korzystają osoby, których nie podejrzewała o takie skryte marzenia. Na swój sposób traktują to jako odskocznik od rutyny. Może warto nabrać odpowiedniego dystansu i puścić wodze fantazji? To przecież nic złego, jeśli zachowamy umiar. Chłopak Oli wie i akceptuje to, co ona robi, jednak sam nie próbował crossdressingu. To nie w jego stylu. Najważniejsza dla niego jest świadomość, że jego partnerka, jako rozsądna i odpowiedzialna osoba, nigdy go nie zdradzi. Ani ona, ani Alex.

OLGA FESZCZUK

Sportowa szlifierka



► Kolorowe stroje mieniające się w świetle reflektorów, tłumy dziewczyn na parkiecie starających się zrobić jak najlepsze wrażenie na sędziach, hektolitry wylanego potu na treningach, tysiące powtórzeń, aby każdy ruch wykonać perfekcyjnie – taniec był twoją pasją od zawsze?

– Pierwszy raz na zajęciach tanecznych wylądowałam jedenaście lat temu. I to nie dlatego, że marzyłam, aby zostać tancerką, ale dlatego, że miałam problemy z kręgosłupem. Odkąd pamiętam, wolałam być całymi dniami na podwórku z kolegami i grać w piłkę, niż machać nogami w takt muzyki. Jednak moja mama zawsze marzyła o tym, żeby tańczyć, ale nie miała nigdy takiej okazji. Stwierdziła, że fajnie byłoby, gdyby mogła robić to jej córka.

► To znaczy, że zaczęłaś tańczyć z powodu mamy?

– Tak. Przez długi czas nie widziałam sensu w tym, co robię. Chodziłam na treningi dwa, trzy razy w tygodniu, spędzałam na nim półtorej godziny i wracałam do domu.

► W takim razie kiedy przestałaś tańczyć z przymusu i poczułaś radość z tego, co robisz?

Z PAULINĄ IWANICKĄ, wrocławską licealistką i utalentowaną tancerką, rozmawia Maria Ursel

– Na pierwszym turnieju tanecznym. Podobało mi się to,

jak wszyscy na mnie patrzyli, kibicowali mi. Dobrze czułam się w towarzystwie innych tancerzy. Miałam swój pierwszy, prawdziwy, bo szyty na miarę, strój i kolorowy makijaż. Poza tym udało mi się wywalczyć miejsce na podium.

► Podobno tańczyć każdy może. Czy każdy może zająć się tańcem profesjonalnie, nawet jeśli wcześniej niezdarne przestępował z nogi na nogę na imprezach?

– Faktycznie tańczyć może każdy. Często jednak ludzie nie odróżniają takiego właśnie kłania się na dyskotekach od tańca turniejowego. Myślę, że wyćwiczenie choreografii, która trwa zaledwie minutę, przychodzi bez większego wysiłku. Tak naprawdę

podstawą sukcesu tanecznego jest mnóstwo spędzonego czasu na sali treningowej, a talent to zaledwie ułamek z całości, który jednak znacznie może ułatwić nam sprawę.

► Ile czasu zajmuje Ci przygotowanie do pokazu, turnieju?

– Konkurencja na zawodach jest ogromna, więc chcąc znaleźć się wśród najlepszych, ćwiczę tygodniami. Nie lubię wychodzić na parkiet, mając świadomość, że czegoś nie dopracowałam. Zawsze muszę być pewna, że zrobiłam wszystko, aby pokazać się z najlepszej strony. Nie mogę pozwolić sobie na błędy.

► Jesteś perfekcjonistką. Odnosisz sukcesy na turniejach nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie. Często krąży opinia, że ludzie, którzy odnoszą sukcesy, na zwykłych śmiertelników patrzą z góry.

– Nigdy nie czułam się lepsza od innych. Nie lubię chwalić się

swoimi sukcesami, bo często jest to odbierane jako przechwalanie się. Po każdym swoim występie czuję, że coś mogłam zrobić lepiej, coś jeszcze dopracować.

► Nie jesteś za skromna jak na tancerkę? Widząc te wszystkie dziewczyny na scenie, mam wrażenie, że są bardzo pewne siebie...

– Wychodząc przed publikę i sędziów, większość z nas chce zostać królową sceny. Jesteśmy uśmiechnięte, pewne siebie. Rzadko kiedy da się po nas poznać, że coś jest nie tak, na przykład pomyliliśmy kroki. Na parkiecie nie ma miejsca na niepewne ruchy. Każdy dobry tancerz powinien być jednocześnie dobrym aktorem. Wtedy można zatuszować małe braki techniczne.

► Swoją przyszłość planujesz też związać z tańcem?

– Bardzo bym chciała. Zastanawiam się nad założeniem w przyszłości własnej szkoły tańca, tym bardziej że już teraz prowadzę zajęcia z maluchami z przedszkola i bardzo to lubię. Jednak to są na razie tylko marzenia, wszystko może się zmienić. Ale wiem, że kocham taniec i na pewno nigdy z niego nie zrezygnuję.



Fot. Magda Pacek

Bez cenzury

To, że młodzież jest chamska i klnie jak szewc już nie tylko w swoim środowisku, chyba nikogo nie dziwi... Zdażyliśmy przywyknąć. Jednak nastolatki szybko znaleźli nowe, odpowiednie miejsce, aby rozwijać swoje umiejętności językowe.

Dbając o „piękno mowy ojczyste”, wykazują się wyszukaniem poczuciem humoru oraz zdolnościami obróbki zdjęć. Obrazki dodawane „na kwejka” pozwalają wyżyć się artystycznie i wyrazić siebie. Właśnie, siebie. Nie to, żeby autorzy byli wulgarni czy coś... Oni po prostu są mistrzami ciętej riposty.

Co kieruje młodymi? – To brutalna prawda. Jesteśmy chamscy i często rzucamy mięsem, a to, co znajduje się na www.kwejk.pl, zazwyczaj śmieszy ludzi, bo jest wulgarnie – śmieje się Anna Dudzik.

Ordynarność to na szczęście niejedyna cecha tego portalu. Jeszcze są teksty, które słyną w całym Internecie i usłyszeć je można niemalże wszędzie. No i dzieła sztuki zmodyfikowane tak, by bawiły. Teraz obraz Jana Matejki *Kazanie Skargi* przeciętnemu licealiście kojarzy się z kultowym już wyrażeniem *nakur***m salto!*

Młodzież nie próżnuje. Wnosi coś do sztuki. Pisze wiersze... Pardon, „wiersze”. Chwytniwe rymy ociekające przekleństwami robią furorę, również na Facebooku. Jedyną pozytywną stroną

tego procesu twórczego jest to, że rymowanki dotyczą znanych postaci... Może za jakiś czas się nam to przyda. Tablice zapełniły się tekstami z *dzi*ko*, ale *to już się robi nudne, dzi*ko!* Tymczasem *pani da gofera*.

Poprawnością także nie grzeszymy. Choć pani poprawia: *mówi się gofra*, to i tak najlepsze w całym tekście jest *smaruj dżemorem!* Kwejk ma też swoje gwiazdy, takie jak Człowiek Skur***l znany jako CS, Andrzej i Człowiek Suchar. Pierwszy jest uosobieniem dużej części młodzieży, ostatni jest mistrzem żartów. Tymi mógłby osuszać bagna... Andrzej wie, jak krytykować w dobrym stylu. Postać może mało wykształcona, ale ripostę ma ciętą.

Zapytana przede mną o opinię na temat www.kwejk.pl pedagog zrobiła wielkie oczy. Nie wiedziała o istnieniu takiej strony. Kiedy z panią Joanną Lamparską przeglądałyśmy nowe obrazki, nie mogła ona ukryć zażenowania, jednak również na jej twarzy zagościł uśmiech.

– Już z ust dwuipółrocznych dzieci możemy usłyszeć przekleństwa, więc w pewnym sensie jest to normalne. Właściwie to w dzisiejszych czasach bardzo trudno spotkać kogoś, kto nie klnie. Zdarzyć się może każdemu, bo to czasem pomaga, ale ta strona mnie przeraża. Po prostu nie wiem, komu chcą zaimponować... To smutne, że dorośli, i z pewnością dzieci, karmią swój mózg taką papką. Do tego jeszcze niesmaczną.

Przeklinanie damom nie przystoi, jednak takich kobiet nie ma zbyt wiele w naszym społeczeństwie. Coraz więcej matek używa wulgaryzmów przy dzieciach. I jak dziecko ma wystawiać się kulturalnie? Nie jest tego nauczone... – Małych dzieci przede wszystkim nie można karać za takie przewinienia! Musimy zważać na słowa, a jeśli musimy, to pilnujmy tego, aby przekleń-

stwa zamieniać na inne zwroty np. „motyla noga” lub „na brodzie Merlina” – radzi pani Joanna. – Co do młodych, to sami muszą odpowiedzieć sobie na pytanie, co sobą reprezentują...

Co reprezentujemy? I czy nie warto zadbać o nasz wizerunek, bo przecież nie tylko jakim cię widzą, takim cię piszą. To, co usłyszą, też się liczy.

ANNA RZĘTAŁA

Wszechnicę odwiedzili

Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska pomaga młodym adeptom sztuki pisania zdobywać wiedzę i umiejętności niezbędne do wejścia w dorosłe, dziennikarskie życie. Dzięki niej mają oni, co piątek, możliwość spotkań z politykami, aktorami, duchownymi, dziennikarzami oraz innymi ciekawymi mieszkańcami naszego miasta.

Po wakacyjnym wyciecznym młodzi dziennikarze, pełni zapału do pracy i z wieloma pomysłami w głowach, na pierwszej Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej w roku szkolnym 2011/2012 spotkali się z uczniami klas pierwszych. Zgodnie z tradycją MWD przewodnicząca Wszechnicy, Paulina Kolańska, przekazała swoją funkcję Tomaszowi Krajcarskiemu. Nasz kolega zastąpił również Patrycję Pietruszkę – redaktor naczelną miesięcznika „Szlif”. W związku z tym Tomek złożył uroczystą przysięgę i otrzymał legitymację dziennikarską. Następnie nowi adepci sztuki dziennikarskiej dowiedzieli się, czym jest MWD i co czeka nas w tym roku szkolnym.

Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska na swoim pierwszym powakacyjnym spotkaniu

gościła Pawła Rańdę – wioślarza, wicemistrza olimpijskiego z Pekinu, dwukrotnego brązowego medalistę Mistrzostw Świata. Sportowiec opowiedział nam, jak wygląda dzień wioślarza, co go motywuje i daje satysfakcję. Przypomniał, że poza sukcesami liczą się inne wartości, takie jak rodzina i przyjaciele. Przedstawił czynniki, które wpływają na sukcesy wioślarzy i jak ważna jest więź w drużynie. Odpowiadając na jedno z pytań, pochwalił wrocławską infrastrukturę pod kątem swojej profesji. Dobre warunki podkreśla również organizowany przez niego Tumski Cup. Swoją aktywność sportową przełożył również na działanie we Wrocławskiej Radzie Sportu. Gorąco zachęcał nas także do aktywnego spędzania wolnego czasu, do czego również zachęcamy wszystkich wrocławian.



Rys. Natalia Sperling

Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej

Adres redakcji: ul. Hauke-Bosaka 33, 50-447 Wrocław;
Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji i skraccania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wydaje Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska działająca przy XIII LO we Wrocławiu

Opiekun: Wojciech Chądzyński

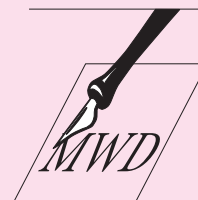
Przewodniczący MWD i Redaktor naczelny: Tomasz Krajcarski

Szefowa fotoreporterów: Magda Pacek

Sekretarz redakcji: Anna Rzetala

Przygotowanie do druku: I-BiS Usługi komputerowe. Wydawnictwo s.c. tel. (071) 342 25 17, www.i-bis.com.pl

Miesięcznik redagują członkowie Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej



Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska organizuje cykliczne spotkania z dziennikarzami, politykami, aktorami i przedstawicielami innych ciekawych zawodów dla wszystkich entuzjastów sztuki dziennikarskiej. Chętnych zapraszamy w każdy piątek o godz. 15.30 do XIII LO przy ul. Hauke-Bosaka 33.